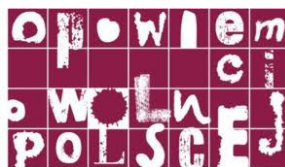




Bieszczady – Pomorze, czyli tam i (nie) z powrotem

Wywiad z panią Anielą Humin przeprowadzony przez uczniów
Publicznego Gimnazjum im. Franciszka Jujki
w Starym Targu w ramach projektu edukacyjnego
„Opowiem ci o wolnej Polsce”



Stary Targ 2012

Wstęp

Dnia 9 maja 2012 roku w Gminnym Ośrodku Kultury w Starym Targu odbyliśmy spotkanie ze świadkiem historii w ramach realizacji projektu „Opowiem ci o wolnej Polsce”. Naszym świadkiem była pani Aniela Humin, która wraz z rodziną trafiła po wojnie z Bieszczad na teren gminy Stary Targ. W projekcie brali udział następujący uczniowie Publicznego Gimnazjum im. Franciszka Jujki w Starym Targu: Daria Bosek, Sylwia Hamadyk, Zuzanna Jakubik, Julita Józwiak, Karolina Kuźmińska, Nikolina Markowicz, Janusz Bugowski, Marcin Kuźmiński, Grzegorz Sałek i Paweł Wąsicki. Opiekę nad nami sprawował nauczyciel historii pan Adam Langowski.

Marcin Kuźmiński



Wspólne zdjęcie uczestników projektu z panią Anielą Humin

Pani Aniela Humin - nasz świadek historii

- Pani Aniela Humin urodziła się 5 stycznia 1920 roku w Solinie w Bieszczadach.
- Uczęszczała do szkoły, w której były dwie klasy. Poza językiem polskim odbywały się tam również lekcje języka ukraińskiego.
- Podczas wojny pojawił się w jej domu rosyjski żołnierz, który przyglądając się pomieszczeniom stwierdził, że „U was Bóg jest, a u nas Boga nie ma”.
- Pani Humin zapamiętała również wizytę miłego, dobrze ubranego Niemca, a w późniejszym czasie wtargnięcie człowieka z UPA, który wszedł do jej domu z nożem w rękę prosząc jej ojca, aby z nim wyszedł na zewnątrz pod pretekstem lęku przed psem. Na szczęście po interwencji ukraińskiej sąsiadki do niczego złego nie doszło.
- Nasza bohaterka została wysiedlona na Wołyń, gdzie spędziła kilka lat i poznała swojego męża. Z czasem wróciła z rodziną do Soliny, ale nie przebywała w niej długo, ponieważ ze względu na niepokoje, które zaczęły ogarniać Bieszczady zdecydowała się przenieść na odzyskane przez Polskę po wojnie ziemie, na których żyje do dziś.

Sylwia Hamadyk, Julita Józwiak



W ogrodzie pani Humin (fot. E. Trussner)

Zapis wywiadu przeprowadzonego z panią Anielą Humin (Stary Targ, 9 maja 2012 roku)

Możemy prosić o krótkie przedstawienie się?

Nazywam się Humin Aniela, urodzona w Solinie w Bieszczadach. W 1920 roku się urodziłam, 5 stycznia. A teraz mieszkam w Starym Targu już tyle lat. Tak wyszło.

Jak wspomina Pani dom rodzinny?

Dobrze. Bardzo. Często sobie wspominam tą Solinę naszą. Ale już teraz nie ma Soliny, bo jest Jezioro Solińskie. Wioski już tam nie ma, bo teraz jest jezioro po prostu Solińskie. To na mapie widać, na samym końcu południa. Bardzo duże to jezioro jest. Byłam tam dwa razy. Nie ma wioski, tylko woda.

A pamięta może Pani, jakieś tradycje, to co się u Pani w domu robiło, gdy była Pani młoda?

Tradycje, to różnie. Spotykała się rodzina, czasem sąsiedzi, czasem chrzest, czasem wesele. Ale tak prywatnie żeby, no to raczej nie, żeby tam takie pogaduszki. Blisko zresztą każdy mieszkał, no to nie miał co mówić. Bo to były gęsto domy, tak, że była rzeka San, droga i dom za domem. Nie były tak jak to czasem takie osiedla gdzieś oddzielone. Były domy, dom przy domu. To była duża wioska.

Jak wyglądała ta wieś? Jak domy wyglądały, otoczenie? Z czego były zbudowane?

Mało było murowanych, przeważnie były domy drewniane. I te węgiel tak zachodziły na siebie i wystawały.

A gdzie się Pani uczyła?

W Solinie. Ja siedem lat chodziłam do szkoły, ale później przerwałam i brat już chodził potem na studia.

Jak wyglądała ta szkoła w środku?

Pierwsza szkoła, co jak zaczęłam chodzić, to były, jak to się mówi „za wysokie progi” (*śmiech*). Naprawdę! Taki wysoki był próg, że takie małe dziecko, jak szło do pierwszej klasy, to musiało dobrze sobie radzić, żeby przejść. A później już była nowa szkoła, tak zwany Dom Ludowy. Była duża sala, tak że już było inaczej.

Ale dzieci były podzielone na klasy? Czy była jedna klasa i jeden nauczyciel?

Nie, to było tak, że były dwie klasy i jeden nauczyciel. Ale te dwie klasy to nic nie dawały, dlatego, że trzeba było chodzić dwa lata do tej jednej klasy. Bo nie było wyższej szkoły tam. I żeby dzieci pamiętały, to dlatego tak było.

Uczniami tej szkoły to byli Polacy, czy były tam dzieci ukraińskie?

Naród był mieszany, bo była cerkiew, był kościół. A prawosławnych nie było tam. Tam byli rzymsko-katolicy i greko-katolicy.

A tam nie było na przykład konfliktów między dziećmi? Wszystko było w porządku?

Tak, jak wszędzie jest (*śmiech*). Dzieci, jak to dzieci, to wszędzie są dzieci. Po prostu jednakowe. Jak się lubią, to lubią, jak nie, to nie.

Czyli nie było żadnych podziałów na dzieci z Ukrainy i dzieci z Polski?

Nie, razem wszystko, razem. Nie było wymówek, nie było nic tam u nas.

Czyli dzieci się ze sobą dogadywały?

Dzieci, ale rodzice też i starsi, tak, że żyli w zgodzie po prostu. Było dobrze.

Jak Pani pamięta wojnę?

No pamiętam tę wojnę. Niedobrze było podczas wojny. Źle było. Trzeba było i uciekać i później się tam tworzyła UPA. Bo później to już było troszeczkę inaczej, bo UPA zaczęła się tworzyć. Takie jakieś nowe, z tych młodych takich, tak jak wy jesteście. UPA - co to znaczy? Ukraińska Powstańcza Armia, to w skrócie UPA. I tam trochę już inaczej było. Ale to już było pod koniec, jak myśmy już stamtąd uciekali.

A jak się zaczęła wojna? Jak Pani to pamięta?

Wojna się zaczęła, jak mój brat chodził do szkoły w Gdańsku. Byliśmy tam, gdzie mieszkaliśmy i myśmy tej wojny tak za dużo nie przeżyli. Ale jak Niemcy przyszli do nas, jak byliśmy pod Niemcami, to przyszedł taki gość, starszy pan i zapukał do ściany. „Gut Haus” - mówi, że drewniana ściana, to dobra. Tam w innych stronach coś tam było, ale tego nie powiem, bo mnie tam nie było. Jak ktoś coś opowiada, a nie wiadomo, czy opowiada dobrze, czy tam dodaje, czy ujemuje, to trudno z tego coś rozebrać. Bo zależy, jak kto mówi. Jak dobrze opowiada, to się słucha, jak nie, to nie.

Czyli Pani rodzinnej wioski, to ta wojna tak nie dosięgła, tak bardzo dotkliwie?

Nie.

Tak w miarę w porządku było?

No tak, no bo pamiętam, tak.

A potem? Bo Rosjanie też był taki czas, że zajęli?

Przyszedł Rusek z takim kulomiotem, pod sam sufit. I rozgląda się tak po mieszkaniu, tu patrzy, tu patrzy i mówi: „A u was Boh jest? Bo u nas Boha nietu”. Czy u nas jest Bóg, a u nich Boga nie ma. Bo były obrazy święte powieszono. A on tak popatrzył, dość sporo patrzył i pyta się, czy u nas Bóg jest, bo u nich Boga nie ma. No i wyszedł, wyszedł z domu.

Czy była Pani świadkiem jakichś walk? Jakichś napadów, prześladowań?

Nie, to później, jak UPA tam zaczęło się trochę tworzyć, to był trochę taki niepokój, ale nic nie było. A walki.... Jak my mieliśmy wyjechać, to właśnie UPA tam się tworzyło. I tak ich nazywali - „bandyci”, różnie tam na nich. Jednego dnia, jednego wieczoru zabili jedenaście osób. To właśnie oni, ale później ruskie zaczęły strzelać, bo to był San, San był rzeką, tutaj Polaków, a tu ruskie były. To dlatego te ruskie zaczęły strzelać, bo oni myśleli, że do nich strzelają ci z UPA. I się wycofali, uciekli, ale jedenaście osób było zabitych w Solinie. I tam spaliło się dość dwa domy, a jakby ruskie nie strzelali, to by było gorzej.

(...) Mam takie jedno coś. Przyszedł z tego UPA chyba. Przyszedł do domu i siostra myła włosy. Do domu wszedł, psa się nie bał, tak? A z domu powiedział, że się boi psa i miał go ojciec wyprowadzić. Nóż miał w ręku, to z tych „upowców” chyba, no bo przecież on się tam nie przedstawił, ani co, to kto mógł wiedzieć, jaki to człowiek? Ale przysła sąsiadka i mówi „idzitje, sotnik waskrytje” po ukraińsku, że tam dowódca ich woła. I on wtedy wyszedł. A jakby to się skończyło, to nie wiem, czy by wyciągnął ojca... A siostra się uczepiła ojca z tą mokrą głową. To było niebezpieczne już! Nóż w ręku, bo on się psa boi. To było jedno takie zdarzenie u nas, w naszym domu.

Czy w innych domach też dochodziło do czegoś takiego?

Różnie to było, bo Niemcy Żydów potem wszystkich wymordowali. Porobili im getta, pospędzali do tego, to ni tam jedzenia, zabraniali. Ja pamiętam tych Żydków, jak tak chodzili, ze swoich domów do getto to się nazywało. No i potem wszystkich sprzątnęli.

W Pani okolicy dużo było Żydów?

Było dużo. Jeszcze takie różne imiona mieli. Neha - takie dziwne. Bo Żydzi handlowali. Oni tylko na sklepach.

A jakoś Polacy próbowali pomóc Żydom?

Dużo pomogli, ale nie wszystkim, bo nie mogli. Wszystkich nie można, z takiego czegoś, jak już Niemcy ich nienawidzą, już zabijają, to nie można. Ale parę osób ocaliło się. Należał do naszej wioski Werlas, taki przysiółek, to było tak blisko lasu, bo on tam, ten gospodarz wykopał taki dół, korytarz zrobił, wyłożył to i tam światło mieli, lampę jak chcieli. Tam było coś postawione na tym, jakiś kurniczek. To tam parę się ich schowało, to wiem.

I ci co tam się schowali, to przeżyli?

Tak, tamci, co tam zostali, to przeżyli. Ale ile ich tam było, to ja też nie wiem. Bo to było wszystko, po prostu to była tajemnica. Ale z tymi ludźmi ja się spotykałam, bo to od nas kawałek, przez San. Należał ten przysiółek do naszej wioski.

Niemcy prześladowali Żydów z Pani okolicy?

Niemcy tak. Wiem, że tam ich zebrali, kazali im się rozebrać, bo to było głośno o tym, kazali im się rozebrać, że idą do łaźni, a tam oni gaz puścili i zagazowali ich. Taka była łaźnia.

W jaki sposób i jak trafiła Pani tutaj, na tereny Starego Targu?

To dużo gadać... Tam gdzie ja mieszkałam już nie ma tej wioski. Więc myśmy musieli wyjechać, my wyjechaliśmy tak prywatnie. Wyjechał najpierw brat, już nie żyje mój brat, ożenił się, ojciec jej pracował w cukrowni w Starym Polu. Brat wyjechał, a potem myśmy wyjechali. Zresztą, to już był taki, nie swój dom... A tam dostaliśmy mieszkanie w Starym Dworze, tak jak przyjechaliśmy do majątku. Wpierw mąż pojechał, a jak przyjechał, to zaraz poszedł do pracy do tego majątku w Starym Dworze, tutaj, koło Starego Targu.

Czyli prywatnie Pani wyjechała? To nie było jakieś przymusowe, tak?

Nie. Wyjechaliśmy, bo trzeba było wyjechać, bo tam... Wyjechała cała rodzina i my wyjechaliśmy. Tam (*w Solinie*) już było tak coś... Coś się zaczynało, nie wiem, co to było, bo już się z nikim tam nie spotkałam, taka jakaś nienawiść, jakieś coś tak było. Niby nie było jeszcze nic, ale...

Czy była jakaś akcja zorganizowana? Wcześniej była Pani świadkiem, że wyjeżdżali ludzie pod przymusem z Pani wsi czy okolic?

Nie, pod przymusem nie wyjeżdżali, tylko jak ruskie mieli granicę, rzeka San graniczyła, tu byli ruskie, co Polskę zajęli, a druga strona, to była polska. I oni od rzeki Sanu, od granicy wywieźli nas... Dziesiątego... Zaraz... W 1940 r. osadników wywieźli na Sybir. Osadników, to znaczy legionistów, co służyli ci panowie w Legionach, to ich rodziny, wszystkich wywieźli na Sybir – ruskie. A został jeden dziadek Wędzina, bo on nie był legionistą. To jeden dziadek Wędzina został w domu, jego nie wzięli na Sybir, bo on nie służył w Legionach i ten jeden staruszek został. A nas później od tej granicy ruskie wywieźli, jechaliśmy towarowymi wagonami, no nikt nie wiedział gdzie jedzie, czy mamy domy, czy gdzieś w lesie nas wyrzuca, czy co będzie. A nas później dali w te budynki osadnicze, co wywieźli osadników na Sybir, to nas dali później w te budynki. Każdemu tam dali to mieszkanie. Jakie było, takie było, ale... Bo od rzeki San, od granicy, prawa ludzie nie mieli mieszkać i ruskie nas wywieźli w te budynki tam.

A to było tak, że ktoś wszedł do domu i mówi, macie się spakować i jedzicie? Czy zaproponowali wam to, mogliście zdecydować, czy jedzicie czy nie?

Zaproponowali, no bo to była granica, Ruscy mieli tą granicę i oni .. To już była propozycja, że trzeba się...No i wywieźli nas, ale nam nie powiedzieli, czy tam zostaniemy, czy domy, czy co, tylko nas wieźli, ale każdy ten dom dostał. Jaki był, taki był. I lepszy i gorszy, ale dostał. Ale to nie tylko od nas z wioski powywozili, bo ta granica się ciągnęła i ciągnęła. To zewsząd tam, gdzie była granica rusko-polska, wszystko wywieźli, nie jedną wioskę. Zależy gdzie kto mieszkał, jak mieszkał przy granicy... Nie wiem ile, czy kilometr, czy trzy kilometry nie mieli mieszkać cywile.

Ta podróż, to ciężka była?

W towarowym wagonie to taka lekka ze wszystkim (*śmiech*).

Ile ta podróż trwała, ile jechaliście?

To chyba było... Zaraz... Do Radziwiłłowa z Ustrzyk Dolnych chyba 300 km było, ja nie pamiętam tego... Ta jazda była towarowym. W klatkach i kury i tam ludzie owce mieli i tak wlekała się tym towarowym pociągami ta cała wyprawa.

Czyli jakby dwukrotnie musiała Pani opuścić Solinę. Pierwszy raz w związku z wyjazdem na Wołyń a drugi raz w związku z przyjazdem tutaj?

Tak. Z Wołynia wracaliśmy jak kto mógł, tak wracał do Soliny z powrotem.

I udało wam się wrócić do Soliny?

Udało się.

A może Pani o tym opowiedzieć, jak to było?

Jak było, to jest trudno opowiedzieć. Wsiadaliśmy do pociągu z dużym bagażem, to była niby taka jakby ucieczka. Mieliśmy okazję, bo przewozili się kolejarze z Radziwiłłowa do Brodów, a Brody to już były w Polsce. Brody-Radziwiłów to była granica, kiedyś dawno temu to była tam austriacka z kimś granica i w tym samym miejscu zrobili później granicę. To kolejarz jeden się zapoznał z naszymi mężczyznami i kazał im, mówi jak będzie pociąg jechał... Tam w Radziwiłłowie wsiedliśmy do tego pociągu, bo się przewozili kolejarze z rodzinami do Brodów. Do pracy, czy coś tam, ale ich przewozili, bo to była granica. I my z nimi wsiedliśmy, czekaliśmy w takiej budce, co słoma była. I jak ci ludzie szli, to my z nimi do pociągu. Bo to nie było takie głośne, że my wyjeżdżamy, tylko każdy już na swoją rękę wyjeżdżał stamtąd.

Jak długo na Wołyniu byliście mniej więcej?

Na Wołyniu byliśmy jakieś trzy lata, nie całe trzy.

Ma Pani jakieś dobre wspomnienia z Wołynia?

Tam były dziewczyny, one były Ukrainki. Grekokatolików tam dużo było, ale nie narzekałam, przyjemni ludzie byli. Tylko oni tam mieli inny zwyczaj prowadzenia obiadów na niedzielę. Mieli te piece, co gotowali z okapami. Okapy mieli i ten płomień szedł do góry. No i oni w sobotę sobie pierożków napiekli, bo zapraszali nas w niedzielę, to widziałam no i o tym mówię. Pierożki w niedzielę serwetką nakryte na stole na talerzu i w butelce woda do picia. Ziemniaki gotowali rano, to jedli z chlebem i kawę pili. Ja się dziwiłam, że oni jedzą ziemniak z chlebem i kawę. Ale tak było, bo sąsiadka, dziewczynka, przychodziła na drutach się uczyć robić i pytałam ją, co tam jadła na śniadanie, a ona mówi, że ziemniaki z chlebem i kawę (*śmiech*). To dla nas było coś innego, no przecież tak nie jedliśmy, że ziemniaki z chlebem i ta kawa. Jak na niedzielę, to pierożki pieczone królowały u nich na stole. To byłam, bo nas zapraszały tam dziewczęta.

A właśnie co do jedzenia, to trudno było je zdobyć? Było czuć, że trudniej było je dostać?

Jak dostaliśmy ziemię, to była gospodarka swoja.

I wszystko się samemu robiło?

Tak, samemu. Bo tak nikt nie pracował, że na miesiąc bierze się pensję czy coś takiego. Dali nam tę ziemię, co miał osadnik i trzeba było gospodarzyć tak jak i się gospodarzyło u siebie.

A po przyjeździe z Wołynia aż do drugiego wyjazdu długo Pani była w Solinie?

Niestety nie pamiętam, jak się o tym tak nie myśli, to się nie pamięta.

A jak wróciliście z Wołynia do Soliny, to pamięta Pani, czy coś się zmieniło, czy było tak jak to Pani zapamiętała przed wyjazdem?

Wróciliśmy było to samo, tylko tata wpierw pojechał jesienią tam do domu. Trochę tam pozasiewał. Zboża od sąsiadów pożyczył, od tych, co tam byli już i gospodarzyli. A na wiosnę myśmy wyjechali. Byliśmy trzy tygodnie w drodze, deszcz padał. To szybko się nie zajechało, bo trzeba było pieszo iść. Teraz są samochody, kiedyś trzeba było pieszo tyle kilometrów. Jeszcze deszcz zaczął padać, a tam ani plandeki, ni nic. Zboże zamokło, później mama takie prześcieradło porozkładała na słońcu, jak już byliśmy w Solinie i suszyła to zboże. Za wesoło nie było... No przyjechaliśmy i co wsiać? A wiosna, to pszenżyta nie, bo już za późno. Pszenicy, jak ktoś miał trochę, no to wsiał sobie. Jak nie miał, to wsiał owies i jadł ten owsiany chleb. Mama siała, siała, siała tę mąkę, a tam zawsze oście były. Tak jedliśmy, ja też tak jadłam. Było tak przez rok, a później było zasiane zboże ozime, to było normalnie całkiem już, ale przez ten jeden rok...

Czy pamięta Pani jakieś postaci, osoby, znajomych właśnie z Soliny? Z narodowości ukraińskiej, czy pamięta Pani jakieś imiona i nazwiska?

Był taki Jurko, pamiętam. Tokarczyk się pisał. Tokarczyków było dużo w Solinie. Ale jakoś ludzie żyli sobie i nie przeszkadzali. Była cerkiew, dwa kilometry dalej był kościółek w Polańczyku. Gdzie kto chciał to tam szedł, jeden do kościoła, jeden do cerkwi. A jeszcze jak był odpust to i do cerkwi szli Polacy, bo to był odpust i też korzystali.

W okresie pobytu na Wołyniu mówiła Pani, że byliście zapraszani. Czy pamięta Pani z tamtych czasów konkretne osoby, jakieś znajomości?

Pamiętam, jak później Ukraińce zaczęli tam zabijać, to był taki Łukijan, gospodarz. No i tak było źle, że baliśmy się spać. Spaliśmy w nocy w żytach w zbożu. Ja się przeziębiam, miałam silny kaszel. Potem mąż wykopał przy stodole taki dół. Tam był na Wołyniu kamień taki biały "hromisz" go nazywali. Jak tam był dom z niego zbudowany z tego kamienia, to ten dom po kilku latach siadał, bo ten kamień był miękki. To ci ludzie nazywali, mówili na ten kamień "hromisz" po ukraińsku, bo tam inaczej oni nie mówili. Byli Polacy, osadnicy, ale osadników wywieźli. Tylko ten dziadek Wędzina został, bo on nie służył w Legionach.

Czyli na Wołyniu były niepokoje, trzeba było się ukrywać?

No były. Była Drańcza Polska i Drańcza Ukraińska, wioski dwie. No i o dwunastej w dzień ci z Drańczy Ukraińskiej i jeszcze więcej tam się dobrało tego bractwa ukraińskiego i spalili tę wioskę, pozabijali ludzi, wioskę spalili. Kto uciekł, to uciekł. Kto jeszcze umiał pacierz po ukraińsku, to go nie zabili. I to było w biały dzień zrobione, nie w nocy, tylko w biały dzień.

Jak wyjechaliście na Wołyń, to tam ludzie mówili po ukraińsku, więc jak się udawało dogadać?

Nie, tak ciężko nie było, bo chodziłam do szkoły i w szkole uczyli nas po ukraińsku i po polsku. Także kłopotu my nie mieliśmy. Jeszcze w Solinie chodziłam do szkoły

i od drugiej klasy już nauczyliśmy się po ukraińsku i po polsku. Bo tam też mieszkali w Solinie Polacy i Ukraińcy. Jedni w domu mówili sobie po polsku, a drudzy po ukraińsku. Byli Ukraińce, to mówili... Ale nie było, że jedni drugich, jakieś wymówki, a ty taki, a ty Ukrainiec. Nie, ja już tam wyrosłam, byłam dorosła i nie słyszałam, żeby tam coś było. Nie wiem, może gdzieś indziej coś tam, ale nie wiem.

Czy można spytać o Pani nazwisko, dość oryginalne - Humin, może coś więcej na ten temat?

Z domu Kozicka .

A Humin?

Po mężu, mężatka. Bo zawsze nazwisko potem męża się liczy.

Rozumiem, że Pani mąż pochodził z tamtych terenów, również z Bieszczad?

On nie z Bieszczad. On tam od Krasnegostawu gdzieś. Ja nie wiem jak oni się tu dostali. Ktoś przyjechał. Ktoś tam był z rodziny, ale od nas tam daleko, a potem pomału, pomału się doszło, że mąż z Krasnegostawu pochodził.

Gdzie się poznaliście?

Gdzie myśmy się poznali... Bo on miał rodzinę tam, to się nazywało Mogiłki, taka nie wioska, tylko taki przysiółek do Podzamcza. I on tam się urodził i wyrósł na tym Wołyniu. Bo dostali Polacy tam też ziemie po tych, co wywieźli na Sybir. Po tych legionistach. No i tam mieszkania dostawali, znaczy brali na odpłatę różnie, kto miał, kto chciał tam sobie.

Czyli Pani mąż był Polakiem?

Polakiem.

I poznaliście się na Wołyniu, tak?

Tak.

I z Wołynia już wróciliście razem do Soliny?

Razem. Na Wołyniu ślub brałam. Jak jechaliśmy z kościoła, to był listopad, a dwóch Niemców jechało na motorze. „Halt!”, zatrzymali nas, my w strachu, bo Niemcy jadą, ale oni nam życzenia składali (*śmiech*).

Czyli jednak jakieś pozytywne wspomnienia z Wołynia są?

No są.

A sam ślub, może Pani o tym coś powie? Jak Pani wspomina okoliczności, czy księdza właśnie, kto to był? Czy bliżej się jakoś kontaktowaliście z księdzem?

Myśmy mieli daleko. Z Podzamcza do Radziłowa było 16 km do kościoła. To jak szliśmy do kościoła, a od nas tam, przesiedleńcy też byli z tej Soliny, nie raz do nich, albo oni do nas przychodzili, ale to było też tych 16 km, to oni tak na połowie mieszkali, my szliśmy do nich

na noc, a już z kościoła to już pomału, pomału tych 16 km do domu. I w Poczajowie był kościół - 10 km. A w Poczajowie był bardzo duży monaster taki ukraiński. Tam były takie ogromne podziemia, że można było zabłądzić. My tam nie poszliśmy, tam szli inni, ale ja się bałam iść, bo pod tym monastylem, tak nazywali "monastyr"... Bardzo duży był w Poczajowie, niedaleko od nas - 10 km. A kościółek w Poczajowie też był. Taki mały kościółek. Ale tak było tam przyjemnie w tym kościółku. Tak ładnie śpiewali Ci ludzie jakąś inną melodię. No i też chodziliśmy, bo bliżej. Zamiast 16 km to lepiej 10 km przejść. To jest prawie połowa (*śmiech*).

I co niedziela do kościoła?

Co niedziela nie, bo nie daliśmy rady. Tam na noc trzeba by iść. Ale chodziliśmy, potem z mężem do Poczajowa do kościółka, jak rodzice wyjechali, jak ja zostałam.

Jak wyglądała uroczystość kościelna, jak brała Pani ślub?

Tak jak u nas, jak tutaj, tak samo. Ale byłam jak brali prawosławni ślub. Tam za drużną mnie poprosiła ta dziewczyna, bo ona niedaleko mieszkała i drugą – dwie drużny były. I kazali nam takie obrazy trzymać, ja myślałam, że już nie wytrzymam. Ten pop, wiecie ile on czytał i czytał? Ja tak słuchałam, co ten pop tam czyta... Oni mieli brody te popy, nie wszyscy, ale mieli. Ciekawe, co? (*śmiech*)

A ta koleżanka jak się nazywała, pamięta Pani? Której towarzyszyła Pani do ślubu jako drużna? Pamięta pani imię i nazwisko?

Anastazja. Anastazja Tokarczyk się pisała.

A swój ślub, gdzie był? Był w tym kościele bliżej, czy dalej?

W Radziwiłłowie. W kościele w Radziwiłłowie brałam ślub. No bo jeszcze ci Niemcy nas spotkali, dwóch na motorach i nam składali życzenia.

Ile miała Pani lat, jak wyszła za mąż?

W dwudziestym drugim.

Pani mąż był starszy czy młodszy od Pani?

Starszy. Cztery lata.

A może wrócimy jeszcze do tego przymusowego wyjazdu na Wołyń? Pamięta Pani ten moment? Przyszli jacyś żołnierze i kazali się pakować? Jak to wyglądało?

Nie, to wyszło po prostu z cywilnej, nie było wojska, nic. Z cywilnej rozmowy to wyszło.

Mieliście czas na spakowanie się i przygotowanie się ?

Mieliśmy. To było tak, że czterdziesty rok, trzynasty, czternasty, piętnasty kwiecień. Póki wioska się tam nie wyniosła całkiem.

Co zabraliście? Co mogliście ze sobą zabrać?

No, jechali tak wozem, tyle aby zajechać. Wszystko brali: klatki pozbijane na drób, owce ktoś tam miał jedną czy dwie, to też ją zabrał. Klatkę zrobił, na wóz ją załadował, konie założył i zaprzęgnął i jechał. Nie było samochodów, żeby wziąć samochód, przecież, gdzie, kto miał samochód? Albo pieszo albo koniem.

A Pani rodzina co ze sobą zabrała? Też jakieś zwierzę ?

Tak. Jechaliśmy razem, ja nie byłam wtedy jeszcze mężatką.

I co zdołaliście wziąć ze sobą?

Ale to nie było tak nagle, że musimy, że nie zdążymy. Tylko to było tak spokojnie.

Ale wyjeżdżała cała wioska, cała Solina? Czy niektórzy powiedzieli „nie jedziemy”?

No nie mogli powiedzieć, bo przy granicy nie mogliśmy mieszkać. I to dużo, to nie tylko Solina, ale dużo wiosek. Tam gdzieś na około też, bo później, jak się pojeżdżali, jak się spotykali, to opowiadali. Jedni byli gdzieś tam, drudzy skąd indziej.

A wracając jeszcze do ślubu. Czy była możliwość spotkania się z narzeczoną, takie randki na przykład?

No przychodził. Tak miał z kilometr do nas do przyjscia. Stary przychodził, pogadaliśmy, pośmieliśmy... Siostry cała rodzina.

Pamięta Pani zaręczyny ?

Tak.

I to było tak, że narzeczoną przychodził do domu?

Niespodziankę zrobili! Specjalnie, niespodziankę! Przyszli z bratem, obydwaj. Patrzę - to wyciągają, tamto wyciągają. Niespodzianka celowo była. Naprawdę! Nawet nie myślałam, że ktoś przyjdzie do domu. Wieczór i przyszli. Takie były zaręczyny. Niespodzianka. Żeby się nie trudzić za dużo, to zrobili niespodziankę z bratem.

Wiadomo, że na tych terenach też sporo ludzi trafiło właśnie z południa. Wielu Ukraińców. Czy nawiązała Pani jakieś znajomości z ludźmi, którzy przyjechali z południa?

Tak, bo to oni mieszkają wszyscy razem.

W Dzierzgoniu mamy cerkiew przecież.

Wiem, że jest cerkiew w Dzierzgoniu. Byłam tam kiedyś w cerkwi.

No właśnie pytam, czy próbowała Pani w to środowisko wejść?

Tak, a bo ja tak lubię wszędzie zajrzeć. I do cerkwi, jak tam w cerkwi, jak w kościele.

A rodzina jakaś została w Bieszczadach?

Teraz? W Myczkowcach to mam, jest brat cioteczny, ale była druga wujenka Kasia, ale jej nie ma, bo Niemcy zabrali ją. Krowa jej się wycieliła i mama tam do niej przyszła. „Krowa mi się wycieliła” - ona mówi. „A gdzie masz cielaka?”- mama pyta moja. „A sprzedałam”, nie chciała powiedzieć, ale potem się przyznała, że sprzedała cielaka. A mama mówi do niej „Coś ty zrobiła, Kasiu?! Coś ty zrobiła?!”. Bo nie wolno było za Niemców cielaka sprzedać. Nie wolno było, no i potem jak Kasię zabrali, to do dzisiaj nikt Kasi nie widział więcej. Za tego cielaka...

Ile miała lat?

Mężatka była ,dzieci miała. Został mąż sam... Taka była dyscyplina niemiecka.

Jak wyglądał Pani przyjazd tutaj, na te tereny? Już po przyjeździe z Wołynia do Soliny, a potem z Soliny tutaj, bo to jest przecież drugi kraniec Polski.

Pociągiem trochę jechaliśmy. Do Ustrzyk na stację przewoził ojciec, ładowaliśmy do towarowego pociągu i razem jechaliśmy w towarowym pociągu.

A podróż trwała długo?

Nie.

To właściwie dwa krańce Polski...

No tak, dwa krańce Polski, ale nie tak długo, to nie wiem, ile już... Trochę tam trwało. Potem to rozładowanie, to to, to tamto....

Czy zdarzały się jakieś problemy podczas tego przejazdu?

Nie. Jak jechaliśmy w pociągu to cicho było, nie było żadnych problemów.

Który to był rok dokładnie?

Ja przepraszam, ale nie pamiętam...

Od początku mieszkaliście w Starym Targu, czy jeszcze w innych wioskach, tu gdzieś niedaleko?

Nie. Mieszkaliśmy w majątku, bo do majątku przyjechaliśmy w Starym Dworze. A tak, to nie.

Może skorzystamy troszeczkę z tego, co Zuzia przygotowała wcześniej z rozmowy z Panią. Mamy taką informację o Józefie Koncewiczu...

A tak, ja to dobrze wiem, bo ja widziałam. Strumyk płynął, ja tam przy tym strumyku stałam i rozmawiałam z sąsiadką, starsza pani była, ale ona poszła, a ja tak zostałam. Przyszło dwóch S-manowców... A to było tak, że żona miała Józefa Koncewicza – męża. Potem on zmarł ten mąż jej, a ten brat jej... Znaczący on nie był Józef Koncewicz, to ten brat był Józef Koncewicz, bo tamten się nazywał Stanisław Koncewicz, co umarł. I ona z tym bratem potem wzięła ślub. A ten chłopak, po tym Stanisławie, nazywał się Józef Koncewicz, a ten brat też się nazywał Józef Koncewicz. To taka zbieżność była. I przyszło dwóch takich

w czarnych garniturach. Nie wiem, tam ktoś musiał naskarżyć coś, bo dlaczego, to by przyszli i do mnie, czy do kogoś innego. Mnie się zdaje, że to ktoś temu był winien, bo proszę zrozumieć, do jednego przyszli i tak narobili. To musiało coś, jakaś nienawiść ludzka być, albo coś...

Co się konkretnie stało?

No przyszli i tego Józefa Koncewicza zaczęli bić pałkami, tego siedemnastoletniego, czy osiemnastoletniego chłopaka, bo tamtego nie było w domu. A Józef Koncewicz? Józef Koncewicz! Zgadzało się nazwisko i imię. I tego chłopaka tak zbili, on leżał i poszli S-manowcy.

A był jakiś powód?

Ja myślę, że chyba był powód, może tamten stary, ten Józef Koncewicz coś może nagadał na Niemców? No coś musiało być, bo dlaczego do drugiego domu nie poszli i nie zrobili tego?

Ale nie zabili go?

Nie, nie zabili, przeżył.

Ktoś go uratował, pomógł?

Jak oni poszli, to ja nawet nie wiem, czy matka była w domu. Bo ja nie widziałam nikogo, on został leżeć. Wysłałam tam za mamą chwileczkę, to już go nie było. A może była matka? Może bała się wyjść, jak go bili, albo co? Nie wiem. A to miał stary dostać.

Czyli to była pomyłka?

Pomyłka była! To samo imię, to samo nazwisko, no i Józef Koncewicz dostał młody. Ja myślę, bo się nikogo nie pytałam, ich też nie, że to musiała być jakaś skarga na kogoś powiedziana, czy coś i dla tego oni tak zrobili. Bo tak kolejno by bili od domu do domu ludzi.

Mówiła Pani, że do domu, jak jeszcze mieszkaliście w Solinie na początku wojny, przyszedł Rosjanin i przyszedł też Niemiec. Jakie były różnice między nimi?

Szalona różnica! Niemiec starszy pan był i wszedł do domu, no i powiedział po niemiecku dzień dobry i zapukał w ścianę. Starszy pan, czysty, ubrany elegancko. Zapukał w ścianę i mówi, że „Gut Hausen!”, że dom dobry, mocny, drewniany. Ten dom miał jeszcze takie na węglach zarzynane drzewo. To był stary dom, bo potem, jak ja miałam rok czasu, to budowali już nowy dom, nie ten, co ten Niemiec pukał.

A może Pani by nam coś powiedziała o swoich rodzicach

Rodzice na gospodarce byli. Wpierw mama umarła, miała 84 lata, a później tata umarł. Już miał 90 lat bez miesiąca.

Czy oprócz gospodarki Pani rodzice gdzieś jeszcze pracowali?

Nie

A ktoś z rodzeństwa?

Nie, to tylko na gospodarce. Ojca brat w Myczkowcach, a my w Solinie. A w Myczkowcach ojca brata żona była, co zabrali ją za tego cielaka.

A duża była państwa gospodarka?

Coś tam było 15 ha. Dostyc spora była. Starczało nam, bo i to sprzedali, i tamto. Drobiu dużo trzymali, jajka mama sprzedawała. Za jajka sieczkarę kupili do cięcia słomy na taką paszę się cięło. Słomy nie zje, a sieczka.... To dla konia ojciec dosypał owsa i koń zjadł, a takiej słomy żywej nie zje ani krowa ani koń.

A z tymi płodami rolnymi czy z jajami to mama jeździła gdzieś do miasta pobliskiego?

Do Leska, do Ustrzyk. W Solinie nie sprzedawała, bo ludzie mieli kury swoje, to co będą kupować (*śmiech*).

Towarzyszyła Pani mamie?

Czasem jechałam z nią, ale nie zawsze. Do Ustrzyk czasem jechałam, jak tam coś chciałam, to jechałam. To brat czasem jeździł.

Na początku nam Pani mówiła o tym Rosjaninie, co mówił o Bogu. Jak on wyglądał?

To był tak ubogi żołnierz, że jeszcze takiego.... On nie miał nic ze skóry! Wszystko, te owijaki, to wszystko parciane, tak biednie! A sam dziehedź!

Miał jakąś broń?

Miał kulomiot, ale to taki długi kulomiot. Karabin, bo oni te długie kulomioty mieli, nie tak jak Niemcy, takie zgrabne.

Był agresywny, czy spokojny?

Nie, tylko tak dziko popatrzył z tym kulomiotem. Tak, jakby ktoś na niego chciał... Aż się tak człowiek wzruszył, bo później, jak on wyszedł, to my „co on tak głupio patrzył?”, no bo głupio! A po tych obrazach, to mało mu oczy nie wyszły! Także to było śmieszne, naprawdę, jak on z tym kulomiotem swoim! U was Boh jest- mówi -u nas Boha nietu!

1 września 1939 roku wojska niemieckie zaatakowały mój kraj. Gdy o tym myślę wyobrażam sobie strach, paniczny lęk i natychmiastową śmierć. Mam wrażenie, jakby wszyscy ludzie mieszkający wówczas w Polsce byli z góry skazani na śmierć.

Niedawno spotkałam się z moją ciotką – Anielą Humin. Oczywiście na rodzinnych spotkaniach czy specjalnych okazjach spotykałyśmy się już wcześniej. Nigdy jednak nie wpadłam na pomysł poznania historii życia tej kobiety. Aż do 9 maja 2012 roku... Wtedy też okazało się, że ta rozmowa już na zawsze zmieni moje myślenie na temat wojny i życia ludzi podczas okupacji. Nasz wywiad trwał nieco ponad godzinę, a zrozumiałam bardzo wiele. Ludzie w czasie wojny nie zastygali w bezruchu. Musieli żyć, budzić się każdego ranka, pracować, a nocą spać. Druga wojna światowa trwała pięć lat. W tym czasie ludzie śmiali się i płakali, umierali i rodzili się.

Ciocia opowiadała nam nie o doniosłych, pełnych patosu walkach, czy bohaterskich czynach. Uświadomiła nam, że miliony cywilów żyło na przekór wszystkiemu. Byli przesiedlani z dnia na dzień, często głodowali, nie byli pewni jutra, ale trwali. To podczas wojny ciocia Aniela poznała męża i wzięła ślub.

Wydaje mi się, że w czasie wojny ludzie uczyli się szanować chleb, wolność i życie. Do szczęścia trzeba było wtedy niewiele. Myślę, że wojna była swego rodzaju otrzeźwieniem, co jest ważne również w naszych czasach. Bardzo często zapominamy o tym, co jest ważne.

Po tym spotkaniu mam o wiele więcej zrozumienia dla ludzi starszych i ich przeżyć.

Zuzanna Jakubik



Spotkanie z panią Humin w sali Gminnego Ośrodka Kultury (fot. G. Sałek)